

O. BERNARD ŁUBIEŃSKI – MISJONARZ NIOSĄCY NADZIEJĘ

10 września 2023 r. będziemy obchodzić 90. rocznicę śmierci Czcigodnego Sługi Bożego o. Bernarda Łubieńskiego, który najbardziej przyczynił się do powrotu redemptorystów na polskie ziemie, co dokonało się przed 140 laty. Był on wybitnym misjonarzem i rekolekcjonistą, który przeprowadził ponad tysiąc serii misji i renowacji misyjnych, rekolekcji parafialnych i stanowych, grupowych i indywidualnych. Współcześni mu pisarze nazwali go „apostolem Polski” i „niestrudzonym głosicielem słowa Bożego”.

O. Bernard Łubieński jest jednym z wielu Czcigodnych Sług Bożych, którzy czekają na beatyfikację, do której konieczne jest stwierdzenie przynajmniej jednego cudu zdziałanego przez Boga za ich wstawiennictwem. Wzywając wytrwale ich orędownictwa w naszych przeróżnych potrzebach, możemy im tę drogę na ołtarze przyspieszyć. W ramach przygotowań do obchodów 90. rocznicy śmierci o. Bernarda chcemy na nowo przybliżyć osobę, dzieło i duchowość tego wielkiego misjonarza niosącego nadzieję, zachęcając czytelników do modlitwy o łaski przez jego wstawiennictwo.

1. ZASŁUŻONY RÓD ŁUBIEŃSKICH

Redemptoryści zostali wypędzeni z Warszawy w roku 1808 po 21 latach bardzo owocnej pracy dla miasta i całej okolicy. W latach dwudziestych XIX wieku podjęto jeszcze próbę odrodzenia wspólnoty na ziemiach polskich, gdy pierwszy polski redemptorysta o. Jan Podgórski wraz z kilkoma współbraćmi pracował w parafii Piotrkowice koło Kielc. Jednak i ta placówka została zlikwidowana w roku 1834 przez władze carskie. Powrót redemptorystów do Polski nastąpił dopiero w 1883 roku, w czym wielką zasługę miał o. Bernard Łubieński. Ponieważ przeżywamy 140 lat od tego momentu, dlatego w kolejnych odcinkach chcemy przybliżyć wydarzenia z tamtych lat, by zobaczyć, jakie były drogi Opatrzności Bożej.

O. Bernard był wybitną postacią, świętobliwym, charyzmatycznym misjonarzem. Pochodził z wielkiego i zasłużonego dla Polski rodu Łubieńskich, co z pewnością pomagało mu w jego szerokiej działalności. Ród Łubieńskich sięga swymi początkami XIII wieku. Łubieńscy w ciągu stuleci oddali wielkie zasługi zarówno dla Kościoła jak i dla Ojczyzny. Kościołowi dali szereg wybitnych osób duchownych, pośród których było kilku biskupów, a nawet dwóch prymasów. Najwybitniejszym z nich był Maciej Łubieński (1572-1652), prymas Polski, arcybiskup gnieźnieński i gorliwy pasterz, wsławiony wielką świętobliwością życia. Zasłynął z odważnych wystąpień przeciw religijnym dysydentom swoich czasów. Natomiast Władysław Łubieński (1703-1767), również prymas i ostatni interrex, czyli głowa państwa w okresie między śmiercią króla a wyborem następcy, nie posiadał co prawda zalet wybitnego męża stanu, ale odznaczał się prawym charakterem. Trzeba też wspomnieć Konstantego Ireneusza Łubieńskiego (1825-1869), który w połowie XIX wieku był biskupem sejneńskim. Swoją gorliwością pasterską i patriotyczną naraził się rządowi carskiemu i został zesłany na Syberię. Zmarł w drodze na wygnanie w Niższym Nowgorodzie jako męczennik za wiarę.

W świeckiej gałęzi tego rodu najwybitniejszym był z pewnością hrabia Feliks Łubieński (1758-1848). Wychowany przez jednego z jezuitów chciał wstąpić do ich zakonu, ale odradził mu to papież Klemens XIV, błogosławiąc na życie rodzinne. Feliks ożenił się i został ojcem dziesięciorga dzieci. Był mężem stanu, politykiem, współtwórcą Konstytucji 3 Maja, a podczas powstania kościuszkowskiego stał przy boku naczelnika. Za czasów Księstwa Warszawskiego był ministrem sprawiedliwości i przeprowadził wiele pożytecznych reform w dziedzinie sądownictwa oraz założył Szkołę Prawa. Pięciu jego synów służyło w legionach polskich pod Napoleonem. Jedynym cieniem, jaki spoczywa na tej pięknej postaci, jest to, że

przyczynił się do likwidacji klasztoru redemptorystów w Warszawie w 1808 roku, czego skutkiem było wypędzenie św. Klemensa i jego towarzyszy z Polski.

Pan Henryk Łubieński, syn Feliksa a dziadek Bernarda, był czołowym finansistą i przemysłowcem. Finansował powstanie listopadowe, a po jego upadku razem z ministrem Lubeckim poświęcił się sprawie podniesienia gospodarki kraju. Zakładał fabryki, otwierał kopalnie, budował linie kolejowe, założył Bank Polski. Niestety te piękne przedsięwzięcia nie spodobały się władzy carskiej i skończyły się bankructwem, zesłaniem na wygnanie na Syberię i utratą ogromnej na owe czasy fortuny, wartości ok. 6 milionów rubli.

Od tego momentu ród Łubieńskich podupadł mocno od strony finansowej, ale siłą tradycji miał jeszcze nadal niemałe znaczenie w kraju i za granicą. Pan Henryk po 6 latach wrócił z wygnania, ale nie miał już sił ani ochoty do dalszej działalności gospodarczej. Jego syn Tomasz Łubieński, ojciec Bernarda, był człowiekiem głęboko wierzącym, wykształconym w kolegium jezuickim we Fryburgu Szwajcarskim. Za młodu wahał się z podjęciem decyzji o wstąpieniu do jezuitów. Ojciec zaangażował go w administrację rodzowego majątku. Tomasz nie miał jednak szczęścia do interesów i doprowadził właściwie do ruiny resztki odziedziczonej po ojcu fortuny, ale liczną rodzinę wychował w duchu naprawdę polskim i katolickim. Nic więc dziwnego, że patrząc na religijność tej rodziny późniejszy gubernator warszawski Hurko powiedział: „Nazwisko Łubieńskich jest synonimem i sztandarem katolicyzmu w kraju”.

Największą jednak chlubą rodu Łubieńskich, a zarazem ich darem dla Kościoła i Ojczyzny okazał się późniejszy redemptorysta, o. Bernard. Jego długie życie zamyka się datami 1846-1933. Jego to Opatrzność Boża wybrała za narzędzie sprowadzenia redemptorystów z powrotem do Polski. W kolejnych odcinkach przypatrzymy się nieco bliżej jego życiu i działalności. O. Bernard godzien jest naszej uwagi i z tej racji, że jako sławny misjonarz przez 50 lat przemierzał ziemie polskie wszereż i wzdłuż, umacniając wiarę i krzepiąc ducha naszego narodu. W bieżącym roku przypada 90. rocznica jego błogosławionej śmierci, która nastąpiła w Warszawie 10 września 1933 roku.

Warto przy okazji zaznaczyć, że proces beatyfikacyjny o. Bernarda na szczeblu diecezjalnym został ukończony jeszcze za życia ks. prymasa Stefana Wyszyńskiego, zaś akta tego procesu zostały przekazane do Rzymu. W 1982 roku dokonano ekshumacji śmiertelnych szczątków o. Łubieńskiego, które spoczywały na cmentarzu wolskim w Warszawie. Przeniesiono je wtedy do kościoła redemptorystów pw. św. Klemensa Hofbauera przy ul. Karolkowej 49, gdzie obecnie znajdują się w marmurowym sarkofagu pod chórem. W marcu 2018 r. papież Franciszek zatwierdził dekret o heroicznosci cnót o. Bernarda. W ostatnich latach podejmowane są różne starania, by zapoznać jak najszersze społeczeństwo polskie z tą piękną postacią, by szerzyć jego kult i prosić Boga, aby wsławił swego sługę cudami, a następnie dekretem Stolicy Apostolskiej wyniósł na ołtarze. O. Bernard Łubieński na pewno zasłużył sobie na takie zaszczytne wyróżnienie. O łaskach otrzymanych za wstawiennictwem o. Bernarda prosimy zawiadomić wicepostulatora sprawy beatyfikacji, pisząc na adres: ul. Karolkowa 49, 01-203 Warszawa, lub zgłaszając je do najbliższego klasztoru redemptorystów.

Podejmijmy z większym zapalem i z mocną ufnością nasze osobiste i wspólne modlitwy o beatyfikację o. Bernarda prosząc, by on skutecznie wstawiał się u Boga za nami, a dobry Bóg poprzez cud zechciał potwierdzić jego świętość. Albowiem świętych otrzymują te wspólnoty, które chcą mieć świętych.

2. MŁODOŚĆ OJCA BERNARDA ŁUBIEŃSKIEGO

Bernard był drugim z kolei dzieckiem Tomasza Łubieńskiego i Adelajdy Łempickiej. Urodził się 9 grudnia 1846 r. w majątku Łubieńskich w Guzowie koło Żyrardowa. Lata dziecięce spędził częściowo przy rodzicach, ale w różnych miejscowościach, a częściowo u krewnych. Samemu panu Tomaszowi, który doświadczał coraz większych kłopotów materialnych, trudno było wychować i wykształcić dwanaścioro dzieci. Bernard otrzymał jednak wychowanie prawdziwie religijne i polskie, co zawdzięcza w dużej części swej matce, która była kobietą mądrą, stanowczą i religijną, a przy tym pełną ciepła i wrażliwego serca.

Od dziecięcych lat Bernard okazywał zainteresowanie czynnościami kapłańskimi, które po dziecięcemu lubił naśladować. Mając zaledwie dziewięć lat prosił rodziców, by go kształcili na księdza. Świadectwem tego, jak ważny był wpływ wychowania rodzinnego na kształtowanie się powołania, jest fakt, że jego dwie siostry Zofia i Irena wybrały drogę życia zakonnego w zakonie Sióstr Wizytek, natomiast brat Zygmunt został księdzem diecezjalnym.

Arystokracja polska spod zaboru rosyjskiego nie chciała w owych czasach kształcić swoich synów w szkołach rosyjskich, więc wysyłała ich na studia do krajów Europy Zachodniej. Państwo Łubieńscy mieli swoich krewnych w Anglii i postanowili posłać do nich dwóch najstarszych synów: Henryka i Bernarda. Mieli oni uczyć się w słynnym katolickim kolegium w Ushaw, natomiast w czasie wakacji mieszkać u państwa Bodenhamów. Pani Irena z Morawskich Bodenhamowa była kuzynką Bernarda, więc miał on w Anglii zapewnioną zarówno materialną jak i duchową opiekę. Bernard miał wówczas 12 lat. Przed wyjazdem ojciec powiedział mu na pożegnanie: „Synu, pojedziesz w świat za granicę, ale gdziekolwiek się znajdziesz, pamiętaj zawsze, że jesteś katolikiem, Łubieńskim i Polakiem”. Czuć w tym powiedzeniu ambicję rodową Łubieńskich, ale też i troskę, by syn w niczym nie przyniósł ujmy zarówno swej wierze jak i rodowemu nazwisku, które było zarazem synonimem polskości.

Studia w kolegium w Ushaw szły Bernardowi dosyć opornie. Nie znał prawie języka angielskiego, a w dodatku przyjęto go od razu do klasy drugiej, o jeden rok za wysoko jak na jego możliwości. Poza tym był przecież jeszcze dzieckiem wyrwanym nagle od rodziny, w obcym zupełnie środowisku. Dzięki swej pracowitości z czasem wyrównał zaległości i dawał sobie radę przechodząc co roku do wyższej klasy. Jednak przy egzaminie dojrzałości nie dopisało mu szczęście. Był to zresztą egzamin bardzo poważny, przed profesorami uniwersytetu londyńskiego. Nie wiadomo, na czym ostatecznie Bernard się potknął, ale stało się bolesnym faktem, że matury nie zdał. Był to dla ambitnego, młodego arystokraty niemały cios i wielkie upokorzenie.

Wszystko jednak Opatrzność Boża skierowała na dobre tory. Podobnie jak kiedyś przegrany proces w neapolitańskim trybunale zdecydował o znalezieniu właściwego powołania przez adwokata Alfonsa Liguori, tak teraz naturalna katastrofa przekreślając możliwości wyższych studiów na uniwersytecie skierowała Bernarda Łubieńskiego ku furcie klasztornej. Od dzieciństwa chciał zostać kapłanem, ale oczywiście miał pewne wahania z wyborem zakonu. Redemptorystów poznał już trochę wcześniej z prac misyjno-rekolekcyjnych, w kolegium czytał też niektóre dzieła św. Alfonsa. Jednak pierwszą „przymiarkę” zakonną zrobił najpierw w klasztorze benedyktynów. Nie przyzwyczajony do wczesnego wstawania, mało nie zemdlał w chórze podczas śpiewania oficjum i to zniechęciło go do benedyktynów. Ale myśl o życiu zakonnym nie opuszczała już Bernarda. Państwo Bodenhamowie, ludzie głęboko religijni, dodawali mu otuchy. Bernard odprawił następnie u jezuitów specjalne rekolekcje przed wyborem stanu i tam podjął ostateczną decyzję wstąpienia do redemptorystów. Jezuita o. Weld, pod którego kierunkiem Bernard odprawił rekolekcje, powiedział mu wtedy: „Tak będzie chyba najlepiej. Redemptoryści zawsze wyjeżdżają na misje po dwóch, a ty jesteś słabego charakteru, więc to będzie w sam raz dla ciebie”.

Tak więc niespełna 18-letni Bernard skierował się do londyńskiego klasztoru redemptorystów w dzielnicy Clapham. Ojciec prowincjał po dwugodzinnej rozmowie oświadczył Bernardowi, że gotów jest przyjąć go do nowicjatu w dzień św. Teresy, 15 października 1864 r., o ile złoży pomyślnie brakujący egzamin z łaciny. Egzamin odbył się następnego dnia i wypadł pozytywnie, więc przyjęcie stało się faktem.

Krewni Bodenhamowie trochę żalowali, że Bernard nie wstąpił do jezuitów, ale uznali w takim obrocie sprawy wolę Bożą. „Twój pradziad - powiedział wuj Bodenham - podpisał dekret wygnania redemptorystów z Polski, może twoim zadaniem będzie w przyszłości sprowadzić ich z powrotem do kraju?”. Tak też rzeczywiście się stanie po dwudziestu latach.

Podziwiamy dziwne drogi Bożego działania. Różne życiowe komplikacje i niepowodzenia służą realizacji wspaniałych Bożych planów. Pismo święte mówi, że tym którzy miłują Pana, wszystko ostatecznie wychodzi na dobre. O. Bernard Łubieński doświadczył tej prawdy w swoim własnym życiu, doświadczyło jej również Zgromadzenie Redemptorystów niejednokrotnie w swojej historii. Niech i w naszych sercach umocni się wiara, że w życiu nie ma przypadków, ale kieruje nami miłość naszego Ojca. Miejmy odwagę zaufać Mu we wszystkim bez granic.

3. DROGA BERNARDA ŁUBIEŃSKIEGO DO KAPLAŃSTWA

W październiku 1864 roku Bernard Łubieński rozpoczął w Anglii nowicjat w Zgromadzeniu Redemptorystów. Europa była wtedy zainteresowana Polską z racji powstania styczniowego, które nie przyniosło co prawda krajowi wolności, było jednak świadectwem, że naród żyje i stać go na zbrojny nawet protest przeciwko przemocy wroga. Na młodego Bernarda patrzono w Anglii jako na przedstawiciela szlachetnego, a tak udęczonego polskiego narodu. On sam czuł się dobrze w Zgromadzeniu Redemptorystów i był przekonany, że znalazł wreszcie drogę prawdziwego powołania. Doświadczył też przy okazji pewnego rodzaju prób swego powołania. Jego ojciec co pewien czas przysyłał listy, a nawet pieniądze na powrót do kraju. Podobnie stryj Konstanty, biskup sejneński, wyrażał niezadowolony, że Bernard wstąpił do zakonu za granicą, podczas gdy w kraju odczuwa się taki brak kapłanów, a w jego diecezji rząd carski zlikwidował ostatni klasztor. Wspomniane trudności nie zachwiały powołaniem Bernarda, ale miały taki skutek, że po ukończeniu nowicjatu musiał jeszcze pół roku czekać na dopuszczenie do złożenia ślubów zakonnych. Przełożeni mimo wszystko nie chcieli zadzierać z ciągle jeszcze wpływowym rodem hrabiów Łubieńskich.

Studia seminaryjne odbywał Bernard najpierw w Anglii w Bishop Eton koło Liverpoolu, a następnie w Holandii. Na początku tych studiów w roku 1866 Zgromadzenie Redemptorystów otrzymało w Rzymie od Ojca Świętego Piusa IX odnaleziony czcigodny obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Przeniesiono go uroczysto do kościoła św. Alfonsa przy ulicy Merulana, a Zgromadzenie podjęło się obowiązku szerzenia kultu tego obrazu na skalę światową. W seminarium redemptorystów angielskich wydarzenia te odbiły się mocnym echem. Kult Matki Bożej w obrazie Nieustającej Pomocy przyjął się tam momentalnie i przybrał ogromnie na sile, gdy klerycy wyjednali u Matki Bożej uzdrowienie swego profesora filozofii o. Halla. Cierpiał on na dziwną chorobę. Od kilku już lat miewał rano dwa lub trzy razy w tygodniu ataki odrętwienia. Leżał wtedy jak martwy i nie mógł się ruszyć, dopóki nie wiano mu do ust trochę mocnej, gorącej kawy. Klerycy kursu filozofii, do którego Bernard należał, rozpoczęli nowennę do Matki Bożej Nieustającej Pomocy o jego uzdrowienie. Następnego dnia po ukończeniu nowenny o. Hall nie przyszedł do kaplicy na poranne rozmyślanie. Klerycy posmutnieli, gdyż wydawało się że Matka Boża nie wysłuchała na razie ich gorącej i szczerzej modlitwy. Gdy jednak po rozmyślaniu zeszli na dół do zakrystii, by

uczestniczyć we Mszy św., spostrzegli ze zdumieniem, że o. profesor również ubiera się i ma zamiar iść do ołtarza. Opowiadał potem, że gdy zadzwoniono na Anioł Pański, obudził się i poczuł wstrząs, coś jakby prąd elektryczny przebiegł przez jego ciało. Zerwał się na równe nogi i odczuł, że jest uzdrowiony. Jeszcze przez dwa lata wykładał filozofię, a potem udał się na misje. Choroba nie powróciła już nigdy. Od tego momentu Bernard Łubieński stał się sam również gorącym czcicielem Matki Bożej Nieustającej Pomocy i gorliwym krzewicielem nabożeństwa do Niej.

Ostatnie dwa lata studiów teologicznych odbył w międzynarodowym seminarium redemptorystów w Wittem w Holandii. Święcenia kapłańskie otrzymał 29 grudnia 1870 roku w historycznym Akwizgranie. Kilka miesięcy po święceniach odwiedziła o. Bernarda matka i brat Roger. Już wtedy zastanawiali się nad możliwością przeszczerpienia Zgromadzenia Redemptorystów do Polski, ale stosowna pora jeszcze nie nadeszła.

O. Bernard jeszcze przez 12 lat będzie pracował na obczyźnie częściowo jako misjonarz ludowy, a zasadniczo jako sekretarz prowincjała angielskich redemptorystów, późniejszego biskupa o. Coffina. Odczuwał jednak przy tym coraz wyraźniej, że jego życiowym zadaniem będzie powrócić do Polski i poświęcić się pracy misyjnej dla polskiego ludu. O. Bernard znał dobrze pieśń emigrantów polskich po powstaniu listopadowym, której jedna ze zwrotek brzmiała: „Patrząc na wschód swym zwyczajem, czemu płacze lud i wojsko? Ono płacze za swym krajem, a tym krajem jesteś POLSKO!”.

Tymczasem o. Bernard dzielił nie tylko tęsknoty emigrantów, ale też wchodził w kontakty z Polonią na terenie Anglii. Byli wśród nich również tacy, którzy żyli wiele lat z sumieniem moralnie powikłanym i dopiero teraz dzięki o. Bernardowi przeżywali swoje nawrócenie, odzyskując radość dzieci Bożych. O. Bernard zaprzyjaźnił się z pewnym Polakiem o nazwisku Feliks Sangórski. Był on wówczas kościelnym przy polskiej kaplicy w Londynie, człowiekiem głęboko wierzącym i apostołem życia chrześcijańskiego wśród innych rodaków. Młodość miał jednak burzliwą. Uciekł z rodzinnego domu i w Wiedniu zaczął pracować na statku, który kursował po Dunaju. Nad Morzem Czarnym dostał się przypadkowo na statek angielski, opłynął na nim całą Europę i wreszcie wylądował w Anglii. W porcie po pijanemu urządził burdę i został za to skazany na rok więzienia. Tam nauczył się modlitwy i stał się zupełnie innym człowiekiem. Bardzo dużo pomógł on o. Bernardowi w jego duszpasterskich kontaktach z rodakami w Anglii.

Tak to Boża Opatrzność przygotowywała powoli o. Bernarda do właściwego zadania jego życia, którym miał być powrót do Ojczyzny i 50-letnia praca misjonarska dla dobra duchowego polskiego narodu.

4. POWRÓT REDEMPTORYSTÓW DO POLSKI

Ojca Bernarda nieustannie nurtowała myśl o powrocie redemptorystów do Polski. Pierwszą okazją udania się osobiście do kraju i zbadania na miejscu możliwości ewentualnego powrotu stało się zaproszenie ze strony brata Rogera Łubieńskiego, który w swoim majątku w Babicy koło Rzeszowa organizował w 1879 r. wielki zjazd rodu Łubieńskich. Prowincjał Coffin zgodził się na ten wyjazd, ale polecił o. Bernardowi, by po drodze zatrzymywał się w klasztorach redemptorystów francuskich i niemieckich, celem przypatrzenia się z bliska życiu i działalności tamtejszych współbraci. O. Bernard poszedł oczywiście za tą mądrą radą, poznał niektórych wybitnych redemptorystów i podpatrzył wiele ciekawych sposobów życia i pracy, co później wykorzysta przy organizowaniu się wspólnoty redemptorystów polskich.

W czasie pobytu w kraju o. Bernard nawiązał, względnie odświeżył szereg znajomości z różnymi osobistościami, ale rzecz jasna nie udało się tak od razu założyć klasztoru Zgromadzenia. Sprawa ta jeszcze nie dojrzała do realizacji.

O. Łubieński powrócił do Anglii, a tymczasem w kraju jego brat Roger, zapalony do idei powrotu redemptorystów, nie ustawał w staraniach, aż wreszcie doprowadził do kupna od magistratu miasta Mościska koło Przemyśla poddominikańskiego klasztoru i kościoła. Aktu tego dokonali w dniu 14 grudnia 1881 roku redemptoryści austriaccy, bowiem od pierwszego rozbioru Polski Galicja należała do monarchii austriackiej. Od tego zakupu do faktycznego przybycia redemptorystów upłynęło jeszcze półtora roku.

W 1882 roku prowincjał Coffin został mianowany przez Stolicę Apostolską biskupem i wybrał się na swoją konsekrację do Rzymu. Towarzyszył mu o. Bernard, który już wówczas wiedział, że najwyższy przełożony Zgromadzenia, o. Generał Mauron zdecydował już o jego udziale w założeniu klasztoru redemptorystów na ziemi polskiej. Przy okazji audiencji biskupa Coffina u Ojca Świętego Leona XIII również o. Bernard spotkał się bezpośrednio z papieżem. Kiedy mu oznajmił, że jedzie zakładać klasztor redemptorystów w Polsce, papież dodał mu otuchy słowami: „Odwagi - uda się!”. O. Łubieński ośmielony życzliwością papieża poprosił, by mu pobłogosławił krzyż misyjny, który otrzymał na pamiątkę od swego byłego prowincjała, teraz już biskupa Coffina. Krzyż ten błogosławił już blisko czterdzieści lat wcześniej Pius IX, kiedy o. Coffin udawał się na misje do Anglii. Leon XIII trzymając rękę na krzyżu powiedział: „Potwierdzam błogosławieństwo udzielone temu krzyżowi przez mego poprzednika Piusa IX i błogosławię na misje w Polsce”. Na pożegnanie o. Bernard zapewnił Ojca Świętego, że ilekroć tym krzyżem będzie na misjach błogosławił lud Boży, zawsze będzie zachęcał do modlitwy za papieża.

O. Łubieński zaopatrzył się na drogę do Polski jeszcze w drugą cenną pamiątkę, mianowicie kopię cudownego obrazu Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Obraz ten został później uroczystie wprowadzony do kościoła redemptorystów w Mościskach, gdzie doznawał wielkiej czci od wiernego ludu polskiego. W związku z opuszczeniem tego klasztoru na skutek zmiany sytuacji po II wojnie światowej obraz Maryi został przewieziony do naszego domu w Krakowie, a potem przez prawie 30 lat znajdował się w kaplicy seminarium duchownego redemptorystów w Tuchowie. W połowie lat 90-tych powrócił ponownie do Mościsk, gdzie został ukoronowany papieskimi koronami w 2001 r.

O. Bernard ruszył zatem z ziemi włoskiej, by przez Wiedeń dostać się do Polski. Należał już teraz prawnie do austriackiej prowincji redemptorystów. Sprawa obsadzenia klasztoru w Mościskach posuwała się naprzód powoli, gdyż nie było ojców przygotowanych do pracy w języku polskim. Sam o. Łubieński, chociaż Polak z krwi i kości, zapomniał częściowo języka ojczystego, bo jak pamiętamy wyjechał za granicę mając zaledwie 12 lat i przez 24 lata przebywał poza krajem. Uczył się więc no nowo języka polskiego najpierw w domu nowicjatu w Eggenburgu a następnie w Krakowie. Zamieszkał w pałacu biskupa Dunajewskiego i uczył się polskiego w sposób praktyczny, głosząc konferencje siostron zakonnym a szczególnie wizytom, do których wstąpiły jego dwie rodzone siostry. Zdarzały mu się jeszcze różne śmieszne pomyłki językowe, które w formie anegdot obiegały następnie krakowskie salony.

Do Mościsk o. Bernard przybył 22 czerwca 1883 roku. Prawie miesiąc wcześniej dotarł tam o. Antoni Jedek jako przełożony nowej placówki. Za kanoniczną datę otwarcia klasztoru redemptorystów w Mościskach uważa się jednak dzień 15 lipca 1883 roku, niedzielę poświęconą Chrystusowi Odkupicielowi - patronalne święto redemptorystów. O. Bernard został później rektorem domu w Mościskach i był nim przez dwa sześćdziesiąt lat (1894-1900 i 1912-1918), ale na początku stał trochę na uboczu. Niemniej jednak jest rzeczą pewną, że bez

o. Łubieńskiego i bez współpracy jego rodziny redemptoryści jeszcze prawdopodobnie przez długi czas nie stanęliby na polskiej ziemi.

Ogromnie ważny jest również duchowy wpływ o. Bernarda na kształtowanie się życia i pracę apostołską redemptorystów polskich. Nie był to co prawda wpływ jedyny, bo przez 26 lat istniała zależność prawna polskich redemptorystów od prowincji wiedeńskiej a potem praskiej, młodzież zakonna zaś odbywała swoje studia w Mautern, gdzie mieściło się seminarium duchowne austriackiej prowincji Zgromadzenia. Mimo to wybitna osobowość o. Bernarda nie tylko opromieniła chwałą młodą wspólnotę redemptorystów polskich, ale wywarła również bardzo dodatni wpływ na ich duchową formację.

Za to wszystko dziękujemy dziś Chrystusowi Najświętszemu Odkupicielowi, obchodząc 140. rocznicę naszego powrotu do Polski, a zarazem 90. rocznicę śmierci o. Bernarda Łubieńskiego. Modlimy się też o jego rychłą beatyfikację.

5. WIELKI MISJONARZ

O. Bernard Łubieński był przede wszystkim znakomitym misjonarzem ludowym. Posiadał bez wątpienia wielki charyzmat kaznodziejski, stając na ambonie rządził sercami i sumieniami słuchaczy. Gdy czyta się jego kazania, a raczej szkice i notatki do kazań, nie wyczuwa się ich wysokiej klasy oratorskiej. Kazania o. Łubieńskiego nigdy nie były mowami napisanymi w całości, wyuczonymi na pamięć i wygłoszonymi po mistrzowski. Odnosi się wrażenie, że o. Bernard mówił co innego niż sobie naszkicował. On chyba wpadał w jakiś trans misjonarski i działał nie tylko swoim mocnym, męskim głosem, nie tylko oryginalnością postawy fizycznej „kulawego” misjonarza, ale jeszcze czymś więcej, mianowicie szczególnym, Bożym charyzmatem. O. Bernard miał na pewno ogromny talent kaznodziejski. Wspaniała fantazja pomagała mu uplastyczniać kazania, wprost malować obrazy, które ilustrowały poruszane tematy. Pomawiano go nawet o zdolności hipnotyczne. Jednak wspaniałe skutki jego kazań, niezwykle nawrócenia każą dopatrywać się w tym wszystkim charyzmatu Ducha Świętego.

O. Bernard był faktycznie kaleką. Po chorobie przebytej w 39. roku życia został częściowo sparaliżowany i w poruszaniu musiał podpierać się laską. Wprawdzie usilne zabiegi lekarskie i różne kąpiele w uzdrowiskach polepszyły jego sytuację zdrowotną, ale niedowład nóg pozostał mu już jako stałe kalectwo, które znosił cierpliwie i z pogodą ducha aż do śmierci, czyli dokładnie przez 48 lat. On sam raczej nie zdawał sobie sprawy, jakie wrażenie wywierał na zgromadzonych w kościele sam trud, z jakim wstępował na ambonę, jak uderzenia laską o schody kruszyły serce niejednego grzesznika i usposabiały do słuchania Słowa Bożego. A gdy już wyszedł na ambonę, mówił tak porywająco, że ludzie słuchali z zapartym tchem, by nawet jednego słowa nie uronić. Byli po prostu porywani w inną rzeczywistość. O. Bernard jakby oglądał na własne oczy głoszone prawdy, a jego wiara i bezwzględne przekonanie udzielały się słuchaczom. Kto posłyszał bodaj raz przejmujące wołanie: „Ludu, nie grzesz!”, ten nie zapomniał go już do końca życia. Wokół misji prowadzonych przez o. Bernarda urosły ciekawe legendy, ale zdarzały się również prawdziwe wydarzenia, które można by postawić przynajmniej na pograniczu nadprzyrodzoności. Największe wrażenie sprawiały kazania o prawdach wiecznych, zwłaszcza o sędzie, dalej o miłości Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie i o Matce Bożej. Kazania na powyższe tematy rzeczywiście wstrząsały ludźmi do głębi i prowadziły ich do szczerego nawrócenia.

Swymi misjami ogarnął o. Łubieński całą Polskę, a szczytową formę osiągnął w dwudziestoleciu przed I wojną światową. Liczba głoszonych przez niego misji łącznie z renowacjami przekracza trzysta. Ogromna większość to były misje udane, nadające życiu danych parafii jakieś nowe, Boże oblicze, ale zdarzały się niekiedy misje z przeciętnym czy

nawet słabym wynikiem. Sam o. Łubieński wspomina o tym w kronikach klasztoru, z którego aktualnie na misje wyjeżdżał.

O. Bernard rzecz jasna nie polegał na swoim talencie czy charyzmacie misjonarskim, ale szukał usilnie pomocy z góry. Czynił to zwłaszcza wtedy, gdy misja zapowiadała się ciężko. Miał zwyczaj zabierać ze sobą obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy i zaraz na początku misji przeprowadzać jego uroczystą intronizację w kościele, łącznie z oddaniem w opiekę Matki Najświętszej całej pracy misyjnej. Matka Boża nie pozostawała dłużna i wyjednywała danej parafii prawdziwe cuda Bożej łaski. Słynną stała się misja przeprowadzona przez o. Bernarda w galicyjskim mieście Borysławiu. Ze względu na zepsucie moralne i wielką obojętność ludzi na sprawy religijne nazywano to miasto „galicyjskim piekłem”. Na około 10 tysięcy mieszkańców większość stanowili Żydzi, a katolicy nie dość że obojętni religijnie, byli jeszcze ogarnięci wpływem idei lewicowych. Zaraz na początku misji wystawiono uroczysto obraz Matki Bożej Nieustającej Pomocy, oddano Jej w opiekę całą parafię i skutki okazały się wprost nadzwyczajne. Misja w Borysławiu, przed którą życzliwi kapłani przestrzegali redemptorystów, stała się wielkim tryumfem łaski Bożej.

O. Bernard używał różnych misjonarskich metod, ale unikał wszelkiej sztucznej teatralności. Wszystko było u niego bardzo poważne i Boże. Umiał też opanować tłum, gdy ten pod wpływem doznanego przeżycia popadał niekiedy w jakiś rodzaj zbiorowej religijnej hysterii. Pod koniec kazania o piekle głoszonego na misji w katedrze kieleckiej, w którym o. Łubieński plastycznie przedstawił nieszczęście duszy odrzuconej od Boga, powstał w kościele taki lament, płacz i przeraźliwy zgiełk, że nie słychać było już w ogóle słów misjonarza. Wówczas o. Bernard przerwał na chwilę, a gdy napięcie trochę opadło, zawołał mocno: „Uspokójcie się, ludzie! Przestańcie płakać! Przecież to jeszcze nie piekło! To dopiero Kielce!”. Interwencja pomogła i można było spokojnie dokończyć kazania i nabożeństwa misyjnego. Pozostało jednak niezatarte wrażenie u wszystkich uczestników.

Misje parafialne stanowią po dziś dzień najbardziej charakterystyczną formę pracy redemptorystów w Kościele. Nie są one obecnie tak wstrząsające jak misje o. Łubieńskiego, ale przynoszą w dalszym ciągu dla tych, którzy szczerze w nich uczestniczą, prawdziwie zbawienne skutki. Prośmy dziś Boga przez wstawiennictwo Matki Najświętszej i o. Bernarda, by łaska Boża towarzyszyła nadal pracom misyjnym wszystkich redemptorystów. A kiedy krzyże misyjne będą powoli wysuwać się z rąk steranych pracą weteranów, niechaj nie zabraknie rąk młodych, które te krzyże pochwyć i pójdą naprzód, by pracować z zapalem na misyjnej niwie Kościoła Chrystusowego.

6. ZNAKOMITY REKOLEKCJONISTA I SPOWIEDNIK

O. Bernard Łubieński zasłynął w Polsce jako wielki misjonarz ludowy z Bożej łaski, ale był on również znakomitym rekolekcjonistą. Liczebnie ilość rekolekcji różnego typu, które przeprowadził przewyższyła ponad dwukrotnie ilość misji (775).

O. Łubieński miał w sobie wiele z ducha założyciela swego Zgromadzenia, św. Alfonsa Marii de Liguori, któremu Kościół nadał zaszczytny tytuł „Doktor Najgorliwszy”. Ta właśnie apostołska gorliwość i pasterska miłość kazała o. Bernardowi przyjmować wszystkie rekolekcyjne zaproszenia i stąd też tak wielka różnorodność dawanych przez niego rekolekcji. Były to rekolekcje ogólnoparafialne oraz rekolekcje dla różnych stanów i ugrupowań ludzi. Były też tzw. rekolekcje zamknięte i tu przeważały ćwiczenia duchowe dla kapłanów.

O. Bernard był prawdziwym mistrzem w głoszeniu rekolekcji. Zwykle opierał swoje nauki o jakieś wydarzenie biblijne, przypowieść ewangeliczną, względnie o tekst modlitwy. Rozwijał tematy po mistrzowsku i umiał tak trafiać do serca słuchaczy, że pamiętano go do

śmierci. Zdarzało się, że nieznanymi ludźmi spotykali wiele lat później któregoś z redemptorystów i przyznawali się szczerze: „Znam ojca Łubieńskiego, byłem na jego rekolekcjach. Co za rekolekcje! Takich nie miałem, ani przedtem, ani potem. Od tej daty zaczęła się nowa era w moim życiu”.

Rekolekcje głosił o. Łubieński prawie do samej śmierci. Kiedy liczył już 82 lata, zaproszono go na rekolekcje dla całego Episkopatu Polski zebranego w Gnieźnie u grobu św. Wojciecha. Przygotowywał się do nich solidnie przez kilka miesięcy. Kiedy wreszcie stanął przed dostojnym gronem słuchaczy, pozdrowił ich z wielkim szacunkiem: „Najznakomitsi i najdostojniejsi arcybiskupie!” Potem jednak uniesiony misyjnym zapałem wołał: „Biskupie, oto wilk wdziera się do owczarni, a ty śpiesz!”. Sławne to były rekolekcje.

O. Łubieński miał również wielki dar przenikania ludzkich sumień. Wierzono w jego słowo, zwłaszcza gdy chodziło o rozpoznanie powołania. Biskupi obawiali się czasem, że jedno zdanie o. Bernarda rzucone klerykowi: „duszo, ty nie masz powołania”, wyludni im po prostu seminarium. Oczywiście nie chodziło tu o to, by po rekolekcjach jak najwięcej kleryków opuściło seminarium, tylko o wyklarowanie postaw niejasnych i rozwianie pojawiających się niekiedy złudzeń odnośnie własnego powołania.

Do o. Bernarda zgłaszało się też sporo ludzi na rekolekcje indywidualne. Byli to tak duchowni jak i świeccy, a także ludzie młodzi, którzy pragnęli rozpoznać swoje powołanie i dokonać dobrego wyboru stanu. Znalazł zawsze dla każdego czas i z równym przekonaniem i troską o dobro duchowe przemawiał do jednej osoby jak i do tysięcznych tłumów.

Oczywiście słowo głoszone to był zasiew, a obfite żniwo zbierał o. Bernard dopiero w konfesjonale. Słuchaniu spowiedzi poświęcał wiele godzin dziennie prawie do samej śmierci. Był prawdziwym łowcą dusz, który wielu ludziom z powikłanym sumieniem dopomógł odnaleźć pokój i radość życia Bożego. Zachęcał wiernych do częstej i gorliwej spowiedzi świętej, gdyż jak mówił: „gorliwa spowiedź to termometr gorliwego życia”. Podkreślał, że „nigdy nie będzie dobrej spowiedzi, jeśli rachunek sumienia nie jest dobry”. Zalecał zatem swoim słuchaczom codzienny rachunek sumienia, szczególnie wieczorny. To dzięki niemu istnieje bowiem większa możliwość systematycznej pracy nad sobą.

Sam skarżył się jednak, że nie ma daru kierowania duszami. „Ja nie umiem prowadzić dusz w konfesjonale na długie lata. Umieję wyciągnąć z błota, jestem jak ta gwałtowna burza, która niszczy wszystko co złe w duszy, ale nie jestem sposobny, by dalej prowadzić”. Zresztą o. Łubieński jako misjonarz przebywający z racji prac apostołskich więcej w terenie niż w klasztorze nie miał po prostu czasu na takie systematyczne kierownictwo duchowe. W każdym razie ktokolwiek szukał u niego światła i rady, znajdował je w obfitości, choćby to był nawet penitent o wysokim poziomie życia duchowego.

Pod koniec jednej misji proboszcz powiedział o. Łubieńskiemu, że pewien pan, który dawno się nie spowiadał, a jego życie jest publicznym skandalem, chodzi na misję i staje zawsze w tym samym miejscu przy głównych drzwiach kościelnych pod chórem. Na krótko przed kazaniem, które miał wygłosić inny misjonarz, o. Bernard wybrał się z plebanii do konfesjonatu, opierając się na ramieniu kościelnego. Gdy doszedł do wielkich drzwi, wysunął rękę spod ramienia swego towarzysza i wyciągnął ją w kierunku owego pana, prosząc go uprzejmie, by pomógł mu dostać się do konfesjonatu. Ów człowiek nieco zdziwiony spełnił prośbę kulawego misjonarza. O. Bernard nie wypuszczając jego ręki, odezwał się do niego: „Bardzo panu dziękuję! A w nagrodę za przysługę wypowiadam pana zaraz, nie będzie pan musiał czekać w kolejce”. Człowiek ten nie spodziewał się czegoś podobnego. Tłumaczył się, że nie może się teraz spowiadać, gdyż nie jest przygotowany, ale jego argumenty nie przekonały o. Bernarda, który powiedział: „Nic nie szkodzi! Ja panu pomogę. Niech pan uklęknie”. Rad nie rad, człowiek ten uklękł i zaczęła się długa spowiedź. A gdy odchodził

od konfesjonau, miał w oczach łzy radości, które świadczyły, że odtąd rozpoczyna nowe życie.

Takich przypadków było wiele, ale oczywiście ogromna większość wiadoma jest tylko Bogu, o. Bernardowi i uszczęśliwionemu odzyskaniem łaski Bożej penitentowi.

Pamiętajmy, że każda spowiedź, byle była szczera i przeżyta ze skrucą w sercu, prawdziwie jedna nas z Bogiem. Niech Matka Najświętsza i Sługa Boży o. Bernard wyjednają łaskę szczerzej spowiedzi szczególnie tym, którzy już dawno nie odważyli się uklęknąć w pokorze ducha przy konfesjonale, aby otrzymać Boże przebaczenie.

7. CECHY OSOBOWOŚCI O. BERNARDA

O. Jacek Woroniecki, dominikanin, tak pisze w przedmowie do życiorysu o. Bernarda, napisanego przez redemptorystę o. Mariana Pirożyńskiego: „Jesteśmy narodem o wyraźnej przewadze temperamentu sangwicznego, zasobnym w siły duchowe, wybuchowym i łatwo zapalającym się do wszystkiego co dobre, piękne i wzniosłe, ale niezbyt trwałym, zmiennym, łatwo kontestującym się pozorami i zbyt dbałym o wygląd na zewnątrz. Takie temperamenty potrzebują mocnych karbów wychowania. Gdy ich nie znajdują, łatwo się wypaczają i tracą nieraz na marne wielkie, naturalne uzdolnienia. Lecz należycie wychowane, umocnione i pogłębione dają ludzi o charakterach bardzo cennych dla życia społecznego. Wieszcz narodu Adam Mickiewicz doszedł do przekonania, że centralne zagadnienie pedagogiki polskiej polega na pogodzeniu owego zapału i entuzjazmu z rozsądkiem i wytrwałością. Otóż ród Łubieńskich, który wydał o. Bernarda posiadał w bardzo wybitnym stopniu te cechy naszego temperamentu narodowego. O Łubieńskich mówiono, że mają we krwi pewną domieszkę szampana” (M. Pirożyński, *O. Bernard Łubieński*, Wrocław 1946, s. 8).

Łaska Boża nigdy nie niszczy natury, ale ją wzbogaca i uszlachetnia, przy czym pozostają pewne rysy osobowości człowieka, które potraktowane w oderwaniu, zdają się mieć rysy wad, ale w całości charakteru pięknie harmonizują z pozytywnym obrazem danej osobowości.

O. Bernard Łubieński nie odróżniał się od swoich przodków. Miał zdolności ogólne raczej średnie, bo przecież nie powiódł mu się egzamin maturalny. Natomiast uzdolnienia lingwistyczne posiadał bardzo dobre. Oprócz języka ojczystego, którego dwukrotnie się uczył (raz w dzieciństwie, a następnie w wieku 36 lat), władał dobrze językiem angielskim, francuskim, włoskim, niemieckim i łacińskim. Takie możliwości językowe otwierały mu szerokie kontakty osobowe i umożliwiały korzystanie z całej europejskiej literatury. O. Bernard nigdy nie był naukowcem, bo nie posiadał umysłu ścisłego i zamiłowania do teoretycznych dociekań. Był to jednak umysł niezwykle inteligentny i bystry, a wspomagany bujną, poetycką wyobraźnią, stwarzał mu znakomite możliwości kaznodziejskie. Wspomniana wyżej „szampańskość” i poczucie szlacheckiej godności nie opuszczały go nigdy. Odziedziczył to widocznie po swoim ojcu, który mimo kurczenia się coraz bardziej możliwości finansowych, starał się zawsze prowadzić swój dom po wielkopańsku. Na temat tej „szampańskości” o. Bernarda wyraził się kiedyś wizytator z prowincji austriackiej redemptorystów: „Macie w polskiej prowincji Zgromadzenia dwóch hrabiów: jeden jest bardziej redemptorystą niż hrabią (o. Żółtowski), drugi bardziej hrabią niż redemptorystą (o. Łubieński)”. Widać stąd, że i wizytatorzy mogą się mylić w swoich ocenach, biorąc różne zewnętrzne objawy postępowania za wyraz osobowości.

O. Łubieński faktycznie utrzymywał liczne kontakty z krewnymi i w ogóle ze szlachtą. Współbracia zakonni chłopskiego pochodzenia mieli mu niejednokrotnie za złe, że „reguły odnoszące się do zakonnej prostoty inaczej stosował do nich a inaczej do siebie. Oni musieli z

misji wracać prosto do klasztoru, a jemu zawsze było po drodze do krewnych we dworach”. Zarzut ten wydawał się na pozór słuszny. Odwiedziny te miały jednak w rzeczywistości charakter na wskroś apostołski. Były to właściwie rekolekcje dla państwa, dla ich służby, połączone zwyczajnie ze spowiedzią generalną. O. Bernard nie schlebiał panom, ale otwarcie mówił im prawdę prosto w oczy. Wytykał niesprawiedliwość społeczną oraz różne szlacheckie wady i grzechy. Byli to bowiem ludzie materialnie zazwyczaj bogaci, ale duchowo nieraz bardzo opuszczeni, bo rzadko kto, a już na pewno nie miejscowy proboszcz, zdobywał się na odwagę powiedzenia im uczciwej prawdy. Od o. Bernarda przyjmowali wszystko, bo jego słowa miały charakter jakby osobistego wyznania, ponieważ on był jednym z nich. „Ja też hrabią śmierdzę” - powiedział im kiedyś pod koniec takiego rachunku sumienia. Oni zaś, dumni panowie, nie obrazili się, choć słowa były twarde, a prawda w nich zawarta – gorzka.

O. Łubieński uważał się zapewne za drugiego po św. Klemensie fundatora redemptorystów w Polsce. Był przekonany, że jego powołaniem jest rozkrzewianie Zgromadzenia na wszelki możliwy sposób. Fantastyczne, nierealne czasem plany przełożeni musieli sprowadzać do poziomu rzeczywistości. Dynamizm ten był jednak potrzebny i twórczy. O. Bernard swoją „pańskość” kontrolował i umartwiał, przepraszając nieraz na klęczkach za chwilowe, przesadne jej objawy. Najlepszym zaś dowodem jego zakonnej prostoty było umiłowanie prostego ludu polskiego i poświęcenie mu wszystkich sił swego życia. Wielkopańskie maniery i kontakty to tylko margines jego osobowości, a zasadniczym powołaniem, które całym sercem umiłował, była ewangelizacja ubogich. W takim postępowaniu o. Bernarda widzimy całkowitą zgodność z duchem misyjnym założyciela i właściwym charyzmatem Zgromadzenia Redemptorystów. Szlachectwo zobowiązuje. O. Bernard był prawdziwym szlachcicem, prawdziwym Łubieńskim, ale oddanym pokornie służbie zbawienia każdego, a szczególnie prostego i biednego człowieka.

Taki był o. Łubieński jako człowiek swoich czasów i swego środowiska. Pochodzenie arystokratyczne ułatwiało mu na pewno przeprowadzenie wielu spraw, ale też przysparzało trudności. Wykorzystał to wszystko dla chwały Bożej, dla budowania królestwa Bożego i osobistego uświęcenia. Stąd płynie jego wielkość, którą podziwiamy mając nadzieję, że wkrótce nadejdzie czas, kiedy Kościół urzędowo potwierdzi te nasze przekonania. Módlmy się o to gorąco!

8. ŚWIĄTOBLIWY REDEMPTORYSTA

O. Bernard Łubieński był redemptorystą, czyli należał do rodziny zakonnej założonej przez św. Alfonsa Marię de Liguori w celach apostołskich dla głoszenia Ewangelii ubogim i duchowo opuszczonym. Żyjąc i posługując we wspólnocie, wstępując osobiście w ślady Chrystusa Odkupiciela i upodabniając swoje życie do Jego sposobu postępowania redemptoryści wypełniają to zadanie i zmierzają ku świętości. O misjonarskiej pracy o. Bernarda była już mowa w poprzednich odcinkach. Zauważyliśmy, że w gorliwości apostołskiej stoi on na równi ze świętymi naszego Zgromadzenia i jest prawdziwym synem duchowym św. Alfonsa, Doktora Najgorliwszego.

Wypada teraz powiedzieć jeszcze coś na temat życia zakonnego o. Bernarda widzianego od wewnątrz klasztoru. Nasz założyciel kładł wielki nacisk na posłuszeństwo. Twierdził, że jedynie tą drogą misjonarz redemptorysta może autentycznie poznać wolę Bożą i osiągnąć zakonną doskonałość. O. Bernard rozumował tak samo i całe jego życie było nacechowane wysokiej klasy posłuszeństwem. Szanował ogromnie autorytet władzy kościelnej, papieża i biskupów i nigdy nie poddawał krytyce ich zarządzeń. Bardzo szanował swoją regułę zakonną, widział w niej praktyczny komentarz do Ewangelii, autentyczną jej interpretację dla

każdego redemptorysty. Prowadził życie bardzo uporządkowane i normowane we wszystkim zakonnymi przepisami. Szanował również swoich przełożonych i nie miał z nimi żadnych trudności, owszem darzył każdego przełożonego wielkim zaufaniem.

Biograf o. Bernarda notuje tylko dwa przypadki, kiedy to zauważono u niego trudności z posłuszeństwem. Pierwszą sprawą był przepis nowego kodeksu prawa kanonicznego, który wszedł w życie w roku 1917. Chodziło konkretnie o punkt zakazujący przełożonym zakonnym słuchać spowiedzi swoich zakonnych współbraci. O. Bernard, który całe życie spowiadał się właśnie u swoich przełożonych i nie miał przed nimi żadnych tajemnic sumienia, uważał, że ten przepis nie powinien mieć miejsca w kodeksie prawa kanonicznego. Przez długi czas nie mógł zrozumieć jego potrzeby i uzasadnienia. Druga sprawa pojawiła się na dwa lata przed śmiercią, kiedy to przełożony klasztoru w Warszawie w święto Bożego Narodzenia nakazał o. Bernardowi odprawienie jednej tylko Mszy św. uważając, że zupełnie to wystarczy dla 85-letniego staruszka. O. Bernard obruszył się trochę na takie polecenie i bezskutecznie usiłował wytłumaczyć przełożonemu, że jeżeli przez 60 lat w każde Boże Narodzenie celebrował po trzy Msze św. i jak dotąd nie umarł, to i na te święta da na pewno radę. Rektor jednak nie ustąpił i o. Bernard, choć z bólem serca, pogodził się z tą decyzją. Jak na blisko 70 lat życia zakonnego, to tych kłopotów z posłuszeństwem było rzeczywiście niewiele.

Św. Alfons, zamierzając pracować dla ubogich, sam dokonał radykalnego przejścia z wielkopańskiego pałacu do ubogiego klasztoru. Od ludzkiej strony biorąc była to zamiana na gorsze. O. Łubieński również dokonał dużego kroku w kierunku ubóstwa, bo chociaż hrabiowskie fortuny Łubieńskich w okresie jego młodości mocno podupadły, to jednak nie zaniechano pańskiego stylu życia. Po przybyciu redemptorystów do Polski, jak to zwykle bywa na początku fundacji, brakowało wiele. O. Bernard w swoich sprawach osobistych był oszczędny niemal do przesady, skoro szkice kazań pisał nieraz na odwrocie kopert listowych i różnych skrawkach papieru. Był za to hojnym za wyświadczone usługi i chyba żaden pracownik klasztoru za rektorstwa o. Bernarda nie skarżył się, że jest słabo wynagradzany.

O. Łubieński naśladował również św. Alfonsa Liguori jako mistrza modlitwy. Głębsze życie duchowe jest niemożliwe bez prawdziwej modlitwy, zatem w życiu ludzi świętych modlitwa musi zajmować naczelne miejsce. Wydaje się, że nie miał daru wysokiej kontemplacji, a czasami nawet rozmyślanie przychodziło mu z trudnością. W takiej sytuacji brał do ręki różaniec i zdrowaśkami odmawianymi w przeróżnych intencjach wypełniał czas przeznaczony na modlitwę. Ogromnie cenił modlitwę liturgiczną i dbał o splendor kościelnych nabożeństw, w czym przypominał św. Klemensa Hofbauera. Za wzorem założyciela redemptorystów częstymi aktami strzelistymi utrzymywał w ciągu dnia prawie nieustanną łączność z Bogiem.

Należałoby jeszcze podkreślić jego ogromną cierpliwość w znoszeniu przez tyle lat przykrego kalectwa oraz wielką delikatność względem innych, których nie chciał trudzić usługami względem swej własnej osoby. Radził sobie sam jak mógł, żeby nikomu nie być ciężarem. Mimo że w ostatnich latach życia trzęsły mu się ręce, potrafił nawet sam się ogolić i to brzytwą, wypracowując z podziwu godną cierpliwością specjalną technikę tego nawet niebezpiecznego zabiegu. Nie chciał być nikomu ciężarem. Miał też dla każdego czas, niczyjej prośby nie zlekceważył i nie zbywał tak od niechcienia. Bawił współbraci interesującą rozmową na rekreacjach, znał się na żartach i nigdy się nie obrażał, gdy czasem i z niego zażartowano.

W napisanych na polecenie przełożonych „Wspomnieniach” wyraził gorącą wdzięczność względem Zgromadzenia. „Wszelkie dobro, jakie osiągnąłem - pisał - zawdzięczam Zgromadzeniu i mam nadzieję, że i niebo przez nie otrzymam. Popełniłem w

moim życiu wiele błędów i grzechów, ale jedno miałem w sercu i mam, i z tym chcę umrzeć - miłość do Zgromadzenia”.

To wszystko budzi wielki szacunek dla człowieka, który tak wiernie odpowiedział Bogu na łaskę powołania zakonnego. Dziękujmy za to Bogu i prosimy dziś o. Bernarda o wstawiennictwo u Niego w naszych intencjach.

9. CZŁOWIEK ODDANY CAŁYM SERCEM JEZUSOWI I MARYI

Duchowość św. Alfonsa Marii de Liguori wyróżnia się głęboką pobożnością chrystologiczno-maryjną. O. Bernard Łubieński jako prawdziwy syn duchowy św. Alfonsa na różny sposób okazywał swoją miłość Chrystusowi, bo przecież miłość nie jedno ma imię. O. Pirożyński tak pisze o nim: „Mimo kalectwa codziennie po ćwiczeniach popołudniowych włókł się powoli na nawiedzenie Najświętszego Sakramentu. W domowej kaplicy siadał w fotelu i spędzał nieruchomo kwadrans za kwadrans. Westchnienia wyrrywające się od czasu do czasu z jego piersi świadczyły, że całym sercem lgnie do swego Mistrza”.

Św. Alfons wypowiedział swoje wyznanie miłości w książce pod tytułem: „Umilowanie Jezusa Chrystusa w życiu codziennym”. O. Bernard ma również, co prawda znacznie skromniejsze rozmiarami ale bardzo piękne, wyznanie swojej miłości ku Chrystusowi. Wypowiedział je w konferencji do sióstr karmelitanek i to w sile wieku, jakieś 40 lat przed śmiercią. Nazwał je „gamą seraficzną” wyrażając w niej całe swoje serce rozmiłowane w Chrystusie. Warto przytoczyć 10-punktowy tekst w całości, gdyż jest to tekst autentyczny, najlepiej ilustrujący wewnętrzne przeżycia o. Bernarda.

„Mój Jezu, miłuję Cię:

1/ bo pokładam całe moje upodobanie w Tobie, ponieważ godzin jesteś całej mojej miłości;

2/ bo chcę dać Tobie całą miłość moją oraz pragnę, aby Ciebie razem z Matką Najświętszą wszyscy w niebie i na ziemi miłowali coraz więcej;

3/ a więc nade wszystko niech się dzieje Wola Twoja w niebie i na ziemi, szczególnie we mnie i przeze mnie, zawsze i wszędzie;

4/ a więc boleję, że Ciebie na tyle nie miłowałem, a tak ciężko Cię znieważałem oraz współczuję z Tobą, że tylu tak strasznie Ciebie obraża, a tak mało dusz naprawdę Cię miłuje;

5/ a więc chcę czynić i cierpieć wszystko co dla mnie możliwe oraz nieustannie błagać Cię o to, aby Cię wszyscy coraz goręcej miłowali;

6/ a więc postanawiam z miłości ku Tobie naśladować każdą z cnót, których stałeś się dla nas przykładem;

7/ a więc pragnę jedynie tego i o to Cię proszę, aby się to ze mną i we mnie stało, dzięki czemu będę mógł rzec z całą prawdą „żyję już nie ja, ale żyje we mnie Chrystus”;

8/ a zatem postanawiam każdą myślą i pragnieniem, każdym słowem, czynem i cierpieniem miłować Ciebie, tylko daj mi tę łaskę, bym zawsze i wszędzie ku miłości Twojej kierował wszystko;

9/ śmiem więc pragnąć uczynić coś heroicznego dla miłości Twojej, a szczególnie cierpieć na sławie i na zdrowiu, na duszy i na ciele, wreszcie dla miłości Twojej śmiercią męczeńską w katuszach umrzeć;

10/ na koniec: Przybądź, Duchu Święty i rozpal we mnie ogień Twojej miłości! Daj mi tę miłość, jaką chcesz, ile chcesz, kiedy chcesz, mimo mej nędzy i głupoty, mej niegodności i niegodziwości! Wszystko przez Ciebie Maryjo. Amen”.

Ostatni ton tej szczególnej modlitwy świadczy, że po Jezusie Chrystusie o. Bernard synowską miłością otaczał Najświętszą Dziewicę Maryję. Zapalił się tą czcią jeszcze w rodzinnym domu, bo przecież nie może być prawdziwego Polaka bez szczerego nabożeństwa do Matki Bożej. Gdy powrócił do Polski zakładając klasztor w Mościskach, jako zadatek Bożego błogosławieństwa przywiózł z Rzymu wierną kopię obrazu Matki Bożej Nieustającej Pomocy. W ciągu 50 lat swego życia w kraju przyczynił się do sprowadzenia do różnych kościołów ok. 500 kopii tego obrazu. Bardzo chętnie podejmował się przygotowania parafii do uroczystego przyjęcia tego obrazu, zaprowadzenia nabożeństwa do Matki Bożej Nieustającej Pomocy czy założenia bractwa ku Jej czci.

Także podczas rekolekcji zamkniętych dla kapłanów, zakonników, czy też sióstr zakonnych lub kleryków o. Bernard przeszczepiał do ich serc kult Matki Bożej. Chciał, aby zasmakowawszy w czułej miłości ku tej przedobrej Matce, nieustannie się do Niej zwracali, a przez Nią ku Bogu. Jeden z uczestników tych rekolekcji tak to wspomina: „Zwykłe konferencja o Matce Najświętszej była najbardziej wzruszająca, pełna dziecięcej wiary i przywiązania. Słowa proste, myśli znane - a tak przemawiały do serca! Kiedy trzymając zdjęty z głowy biret wznosił oczy ku Jej obrazowi, czuliśmy, że on Ją naprawdę kocha”.

Nie było to więc nabożeństwo tylko na eksport. On sam był autentycznym czcicielem Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Jej poświęcił całego siebie i swoją posługę, od Niej czerpał pomoc i zapął do swych uciążliwych prac apostolskich, przez Nią wypraszał nadzwyczajne nawrócenia, niekiedy prawdziwie cudowne. Za wzorem św. Alfonsa Liguori utrzymywał nieustanną łączność modlitewną ze swą niebieską Matką, zdrowaśki po prostu nie schodziły z jego ust. Nieraz - jak pisze jego biograf o. Pirożyński - podczas rozmowy, gdy słuchał opowiadającego, poruszał wargami i ledwo dosłyszalnym szeptem odmawiał nigdy nie kończące się „Ave Maria”.

O. Łubieński z pewnością raduje się dziś z nieba widząc, w ilu kościołach naszej Ojczyzny znajduje się obraz Matki Bożej pod wezwaniem Nieustającej Pomocy, przed którym co tydzień gromadzą się ludzie na nabożeństwie Nieustannej Nowenny. Prośmy Ją w gorących modlitwach, aby wspomogła nasze starania o beatyfikację Jej wielkiego czciciela.

10. O. BERNARD ŁUBIEŃSKI JAKO PRZYJACIEL KAPŁANÓW

Już od czasów św. Alfonsa Liguori redemptoryści żyli w bardzo dobrych relacjach z duchowieństwem zakonnym i diecezjalnym. Założyciel Zgromadzenia bardzo dbał o to, by księża mogli zawsze znaleźć w klasztorze miejsce, aby się zatrzymać i bardzo chętnie przyjmował ich na rekolekcje. Pierwsze domy we Włoszech miały dużo pomieszczeń, o wiele więcej niż potrzebowała ich wspólnota zakonna. Przeznaczenie tych dodatkowych pokoi było właśnie przewidziane dla księży, którzy zechcą w klasztorze odprawić swoje rekolekcje. W czasach św. Alfonsa księża rzeczywiście potrzebowali podbudowy życia duchowego oraz dokształcenia w dziedzinie teologicznej, gdyż ówczesny poziom duchowieństwa nie wszędzie był zadowalający.

W okresie, kiedy o. Bernard przybył do Polski, mieliśmy świątłych i pobożnych kapłanów. Każdy jednak ksiądz, podobnie jak i ludzie świeccy, potrzebuje od czasu do czasu odnowy wewnętrznej i duchowego wytechnienia. O. Łubieński rozumiał doskonale te potrzeby i dlatego służył kapłanom na wszelki dostępny mu sposób. Wielu z nich, nie wyłączając biskupów, było jego osobistymi przyjaciółmi. Szukali u niego rady zwłaszcza w trudniejszych sprawach, spowiadali się u niego i pod jego kierownictwem odprawiali rekolekcje. Były to często rekolekcje grupowe, których o. Łubieński wygłosił w różnych diecezjach ponad 200 serii, ale nie brakowało również rekolekcji indywidualnych w naszych klasztorach. Obojętne czy było kapłanów dziesiątki, czy tylko jeden, o. Bernard z jednakowym zaangażowaniem

oddawał się tej pracy, wiedząc dobrze, że dusza kapłańska też potrzebuje serdecznej bratniej pomocy. Umiał trafić do kapłańskiego serca, wlewać otuchę i umacniać na dalszą ofiarną służbę dla Kościoła.

O. Łubieński miał szczególny dar pocieszania strapionych serc kapłańskich. Píše na ten temat jeden z kapłanów: „Podczas wojny zostałem wywieziony z parafii i zniszczony zupełnie materialnie. W ogromnym utrapieniu ducha pojechałem do Mościsk, by pod przewodnictwem Sługi Bożego o. Bernarda odprawić w październiku 1916 roku przynajmniej trzydniowe rekolekcje. Przychodził na konferencje wytrwale i punktualnie wlokąc się o kiju i prześlicznie rozwijał modlitwę: «Niech się dzieje, niech będzie pochwalona i na wieki wywyższona najsprawiedliwsza, najwyższa i miłości najgodniejsza wola Boża we wszystkim. Tak, we wszystkim...». Chyba już w niebie odbiera nagrodę za tyle dobra, które zdziałał dla mnie, biednego kapłana, stawiając mnie zupełnie na nogi, całkowicie w Chrystusie odnowionego”.

W ostatnich latach XIX stulecia pojawiła się sprawa wielkiego działacza ludowego, ks. Stojałowskiego. Z powodu swej radykalnej działalności społecznej popadł on w zatargi z władzą kościelną i został zawieszony w czynnościach kapłańskich. Sprawa ciągnęła się dosyć długo. Ks. Stojałowski kontaktował się w międzyczasie z o. Łubieńskim i ten powoli, cierpliwie doprowadził tego zacnego skądinąd kapłana do pojednania się z biskupem i załagodzenia wszelkich nieporozumień. Jednak ks. Stojałowski agitował nadal pośród ludu wbrew zakazowi biskupa i popadł po raz drugi w kary kościelne. Jego zwolennicy byli w niektórych parafiach liczni, stąd też powstało pewne niebezpieczeństwo dla Kościoła. Misjonarze redemptoryści i sam o. Łubieński musieli podczas swych prac apostołskich wyraźnie wystąpić przeciw temu ruchowi, który w zasadzie był słuszny, ale schodził wyraźnie na drogę niezgodną z Ewangelią Chrystusa. W pewnej parafii w górach o. Bernard urządził podczas misji publiczne nabożeństwo ekspiacyjne za tego rodzaju zgorzenia. Z powodu ciasnego kościółka nabożeństwo odbyło się na wolnym powietrzu i był na nim obecny w przebraniu sam ks. Stojałowski. Na drugi dzień przysłał on misjonarzowi list, w którym stwierdził, że od wiary katolickiej nigdy nie odstąpi i podpisał się własną krwią: „ks. Stojałowski, kapłan wierny Kościołowi rzymskiemu”. Do osobistego spotkania doszło dopiero po kilkunastu miesiącach. Wówczas ks. Stojałowski odprawił rekolekcje pokutne łącznie ze spowiedzią u o. Łubieńskiego i już na dobre pojednał się ze swymi kościelnymi zwierzchnikami.

Takich kapłanów, którzy mieli różne problemy, nieraz bardzo trudne, zgłaszało się do o. Bernarda więcej. Historia milczy o ich przeżyciach, bo były one zbyt osobiste i delikatne, by je przekazywać do publicznej wiadomości. W każdym razie jest pewne, że oni wszyscy znajdowali w ojcu Łubieńskim współczującego, dobrego ojca, który przyjmował ich z największą wyrozumiałością i ułatwiał wybrnięcie z różnych życiowych kłopotów.

Przemawiał do kapłanów z takim namaszczeniem i tak wzniośle przedstawiał im kapłańskie powołanie oraz wynikające z niego obowiązki, że nawet biskup tarnowski Ignacy Łobos w ten sposób wyraził się po zakończeniu rekolekcji dla kapłanów swojej diecezji: „Gdybym miał pojęcie o tak strasznej odpowiedzialności, uciekłbym od swoich święceń”.

O. Łubieński cenił niezwykle wysoko swoje kapłańskie i zakonne powołanie, i dążył usilnie do tego, by wszyscy powołani równie wysoko je cenili. Rozważając taką postawę Sługi Bożego, prosimy Boga za jego wstawiennictwem o to, by Kościół powszechny, jak również Kościół na naszej polskiej ziemi miał zawsze dobrych i gorliwych kapłanów. Widząc zaś wielkie potrzeby Kościoła, które Pan Jezus nazwał w Ewangelii wielkim żniwem, prosimy gospodarza tego żniwa, aby wysyłał na nie nowych, licznych i szczerze oddanych sprawie pracowników. Niech o. Bernard raduje się w niebie, że jego troska o kapłanów i powołania kapłańskie jest nadal prawdziwą troską serca każdego wierzącego Polaka.

11. KU BOŻEJ MECIE

O. Bernard Łubieński mimo kalectwa cieszył się dobrym zdrowiem. Był zresztą twardym dla siebie i nigdy się nie rozczulał nad swoimi dolegliwościami. Kiedy jako 82-letni staruszek przejeżdżał przez Toruń, rektor tamtejszego klasztoru redemptorystów poprosił go o wygłoszenie kazania na otwarcie nowo wybudowanego gmachu juwenatu, czyli niższego seminarium redemptorystów. O. Bernard nigdy takim prośbom nie odmawiał, więc i tym razem chętnie się zgodził. Kiedy szedł na ambonę, poczuł nagle mocny ból, zasłabł i wyszeptał tylko: „połóżcie mnie na ławce”. W takiej pozycji poprawił osuwający się pas, odpoczął parę chwil, potem jakby nigdy nic ruszył powoli na ambonę i wygłosił płomienne kazanie. Moc ducha opanowywała wszelkie słabości ciała. Jednak mimo wszystko powoli tracił siły.

Współbracia ze wzruszeniem obserwowali, jak punktualnie brał udział we wszystkich modlitewnych spotkaniach wspólnoty zakonnej w Warszawie i z ogromnym poświęceniem szedł rano i wieczorem do konfesjonału, gdzie długie godziny codziennie spowiadał. Tak było prawie do samej śmierci. Do końca chciał służyć Bogu według reguły swego Zgromadzenia i jak żołnierz trwać na posterunku. Sam nie prosił o żadne ulgi, przełożeni musieli mu nakazywać, by się tak nie męczył, by już z pewnych ćwiczeń wspólnych zrezygnował. Poddawał się posłusznie tym rozporządzeniom, gdyż uznawał posłuszeństwo za najmiłą Bogu ofiarę, ale było mu przykro, że już - jak mówił - „dziadziej” i nie może nadażyć za młodszymi współbraćmi.

Do normalnych dolegliwości wieku starczego i częściowego paraliżu znoszonego tak cierpliwie przez blisko 50 lat dołączyły się pod koniec życia inne cierpienia: rany na nogach, chorobowe zmiany w pracy serca i coraz bardziej dokuczliwe drżenie rąk. Nadszedł czas, kiedy już nie mógł nawet na siedząco sprawować Eucharystii, kiedy już musiał większość dnia spędzić w łóżku. 20 sierpnia 1933 roku na swoje imieniny był jeszcze na wspólnym obiedzie w klasztornej refektarzu. Zmęczył się bardzo, ale kładąc się w swoim pokoju na popołudniowy odpoczynek, prosił brata, który był przydzielony do jego pomocy, by go obudził o oznaczonej godzinie i pomógł mu dojść do kaplicy klasztornej, gdyż miała się zaczynać wizytacja domu przez o. Prowincjała. Brat tłumaczył ojcu Bernardowi, że lekarz zabronił wstawać i gdyby się dowiedział o tym zamiarze, to na pewno pogniewałby się i stanowczo zabronił. „Skąd taki doktor może rozumieć, co to jest wizytacja” – powiedział o. Bernard i brat ustąpił, aby staruszkowi nie robić przykrości.

Słabł jednak coraz bardziej, ale znosił wszystko cierpliwie i dziękował serdecznie za wszelką posługę. Często wrywały mu się akty modlitewne: „Niech się dzieje wola Boża, niech będzie tak jak Bóg chce!”. Jakże był podobny pod tym względem zgadzania się we wszystkim z wolą Bożą do wielkiego brata redemptorysty, św. Gerarda Majelli, który prawie 200 lat wcześniej umierał w klasztorze Materdomini we Włoszech młodszy o blisko 60 lat od o. Bernarda. Na całkowitym zjednoczeniu woli własnej z wolą Bożą opierał również św. Alfons Liguori istotę zakonnej doskonałości redemptorysty. Najlepszym sprawdzianem tej zgodności jest próba cierpienia. Wtedy dopiero okazuje się cała moc ducha oraz wartość wszystkich obietnic i deklaracji czynionych przed Bogiem w pełni sił i zdrowia. O. Bernard przez swoje kalectwo był już od dawna oswojony z cierpieniem, rozważał często mękę Chrystusową, codziennie odprawiał drogę krzyżową i wiele rozmyślał o śmierci, dlatego też jej zbliżanie się przyjmował prawdziwie po chrześcijańsku i po zakonnemu, czyli spokojnie.

Niektórzy ludzie świętobliwi potrafią powitać śmierć nawet z uśmiechem. O. Bernard nie miał już siły, by się uśmiechnąć, bowiem paraliż mózgu postępował i chory zaczął tracić przytomność. Ale on już dawno temu wszystko z radością oddał swemu Panu i często

powtarzał w kapłańskich modlitwach werset psalmu: „Ucieszyłem się, gdy mi powiedziano, pójdziemy do domu Pana”. Całe jego życie było nieustannym czuwaniem, zgodnie z zaleceniem Chrystusa zawartym w Ewangelii. Było też nieustannym krzątaniem się wiernego sługi Pana wokół sprawy, jaka została mu zlecona w związku z otrzymanym powołaniem. Mógł spokojnie oglądać się wstecz, zaśpiewać z Matką Najświętszą dziękczynne Magnificat - za wielkie łaski, jakimi Pan go obdarował i za to, że te łaski nie zostały zmarnowane. Mógł naprawdę spokojnie iść do Pana z dojrzałym, bogatym plonem swego długiego kapłańskiego i misjonarskiego życia.

Zmarł 10 września 1933 r., czyli w roku Jubileuszu Odkupienia, uroczyscie obchodzonym w całym Kościele powszechnym. Była to druga niedziela miesiąca, kiedy w kościołach redemptorystów odprawiano specjalne nabożeństwa ku czci Matki Bożej Nieustającej Pomocy. Ona to, Matka Odkupiciela, sprowadziła swego wiernego czciciela a zarazem dzielnego współpracownika Chrystusowego dzieła Odkupienia do pełnego już uczestnictwa w zwycięstwie Chrystusa zmartwychwstałego.

Pogrzeb miał uroczysty, prawie tryumfalny. Był pierwszym redemptorystą, który umarł w warszawskim domu Zgromadzenia. Pochowano go na cmentarzu Wolskim. Powszechna opinia stwierdzała jego świętość i zaczęto mówić o procesie beatyfikacyjnym. Wszystko opóźniła jednak II wojna światowa, która zniszczyła klasztor warszawskich redemptorystów na Woli i wiele pamiątek po ojcu Bernardzie. Cała zresztą wspólnota zakonna w liczbie 30 współbraci poniosła śmierć z ręki wroga w czasie Powstania Warszawskiego 6 sierpnia 1944.

O ojcu Bernardzie jednak nie zapomniano. Dziś, kiedy mija 90 lat od jego śmierci, sprawa jego beatyfikacji jest już na szczeblu rzymskim. W naszych modlitwach prosimy Boga o jej przyspieszenie, modląc się szczególnie o cud przez jego wstawiennictwo. Zaś o łaskach otrzymanych za wstawiennictwem o. Bernarda nie zapomnijmy powiadomić najbliższy klasztor redemptorystów.